

Agnieszka Rynkowska

3 opowiadania

Ciocia Krysia

Lakier na paznokciach cioci Krysi schnie długo.

Ciągnę pędzelek równo i powoli, ale na kciuku czerwona smuga rozlewa się na skórce przy nasadzie i po raz trzeci sięgam po wacik. Ostry zapach acetonu miesza się z perfumami cioci.

– Sonia, wystarczy – mówi mama i przytrzymuje rękę na moim ramieniu. Odrobinę za długo i za mocno, żeby myśleć, że to tylko prośba. – Naprawdę nie musi być idealnie.

– Idealnie nie. Ale wystarczająco dobrze – upieram się. – Prawda, ciociu? – rzucam w powietrze i tym razem zaczynam od serdecznego palca.

Dłonie cioci są gładkie. Inne niż mamy, siostry bliźniaczki cioci Krysi.

A musi być wystarczająco dobrze, bo ciocia jest ciocią z wielkiego świata.

Ciocia Krysia pracowała w zaopatrzeniu głównego domu handlowego Białegostoku i umiała załatwić wszystko. Koldrę, pralkę, zestaw mebli na wysoki połysk.

Kiedy ciocia wchodziła do naszego mieszkania, mama ruszała się szybciej, trzymała wyżej głowę i uśmiechała się. Nawet jeśli była akurat smutna.

A smutna była często. Prawie zawsze.

Stawałam w progu kuchni i patrzyłam, jak ciocia wyciąga z torebki czerwoną paczkę carmenów. Przez moment bawiła się zapalniczką, a potem zapalała papierosa. Czasem robiła z dymu kółka i puszczała je w otwarte na oścież okno.

Czerwony lakier na paznokciach cioci polyskiwał w świetle lampy i od razu w naszej kuchni, którą mama sprzątała do sterylności, robiło się bardziej kolorowo.

Mama machała ręką, żeby rozgonić dym, ale nigdy nie powiedziała, że jej to przeszkadza. Patrzyła na mnie i ruchem podbródka wskazywała mi drzwi.

Chciałam usiąść przy kuchennym stole i zobaczyć, co takiego robi ciocia Krysia, że mama się uśmiecha. Czekałam na zaproszenie, na ruch ręki mamy.

Ciocia Krysia patrzyła najpierw na mamę, a potem przesuwiała wzrok na mnie, jakby czekała, że coś powiem. Jakby czekała na hasło, którego nie znałam. Po chwili wdychała z rozczarowaniem i prosiła, żebym poszła kupić „coś słodkiego do kawy”. Wciskała mi w garść zwitek banknotów. Kiedy próbowałam protestować, lekko popychała mnie w kierunku drzwi.

Zaciskałam usta i szłam do osiedlowej budki. Po drodze liczyłam chodnikowe płytki. Kopałam ze złością kamyki, bo wiedziałam, że omija mnie rozmowa przy kuchennym stole. Kiedy wracałam, mama była już inna. Weselsza.

Kładłam na blacie torebkę niemieckich misiaczków i patrzyłam na ciocię z wyrzutem.

Ciocia puszczała do mnie oko, wybierała tylko żółte żelki i łakomie wkładała do ust kilka naraz.

Z zalem szłam do swojego pokoju, łowiłam szmer ich rozmowy i śmiech mamy. Może gdyby mama nie miała cioci Krysi, to śmiałyby się ze mną.

Na powieki cioci Krysi nakładałam zielony cień. Powoli, bardzo powoli, pociągam tuszem jasne rzęsy. Pojedyncze włoski sklejają się w teatralne kępki. Ciocia lubi tak teatralnie.

– Mnie też pomalujesz? – pyta mama, ale wiem, że po prostu chce, żebym już skończyła. Mama nigdy się nie maluje.

Trzy lata temu, kilka dni po moich dwunastych urodzinach, ciocia przysłała do mnie. Nie do nas, tylko do mnie. W tajemnicy przed moją mamą. Przyniosła ze sobą paku-neczek przewiązany bordową wstążką.

– Przyda ci się, Soniu – powiedziała i usiadła przy kuchennym stole. Potem, tak jak przy mamie, wyciągnęła paczkę carmenów i zapaliła.

Odwiązałam wstążkę i rozchyliłam papier. W środku znalazłam stanik.

Rozłożyłam biustonosz i przejechałam palcami po szorstkich koronkach. Szybko go zawinęłam. Zrobiło mi się gorąco i próbowałam uniknąć wzroku cioci.

Ciocia roześmiała się, wstała i wyjęła mi z ręki paku-niek. Rozwinęła stanik i podała mi go pewnym, spokojnym ruchem.

Powąchałam materiał.

Pachniał fabryką i obcością.

– Zalóż – powiedziała ciocia Krysia.

Kiedy próbowałam rozpiąć haftki, ciocia włożyła papieros w usta i obiema rękoma ściągnęła mi koszulkę przez głowę.

– Pokaż się. – Zmarszczyła brwi. Przez moment patrzyła na mnie i przesunęła moje ramiona do tyłu.

Nigdy jeszcze nie stałam przed kimś taka golotka, a jednak było to naturalne. Jakbym zupełnie nie musiała się tego wstydić.

– No, biust będziesz miała po nas. Jesteś piękną kobietą – powiedziała ciocia i wypuściła z ust smugę dymu do góry. Pod sam sufit.

Wyprostowałam się.

Teraz też się prostuję.

Kąciki ust cioci Krysi lekko opadają w dół.

– Uśmiechnij się – mówię cicho i słyszę, jak mama wdycha z irytacją.

– Sonia – zaczyna znowu – nie przedłużaj. – A potem nagle zaczyna się śmiać i trąca mnie lekko w ramię. – Krysia nie ma tyle cierpliwości.

– Jeszcze tylko usta i będzie tip-top – odpowiadam i głośno przelękam ślinę.

– Zawsze ją pytałam: gdzie ty się tak spieszysz, Krysia. Ta jej śpiewka: „Szybko, szybko, życie ucieka”.

– Mamo... – próbuję ją zatrzymać, bo niby się śmieje, ale widzę, jak zaciska dłonie w pięści.

– Teraz też musiałaś być pierwsza? – Mama prawie krzyczy do cioci Krysi.

Wymykałam się z mojego pokoju, kiedy słyszałam, jak mama się śmieje. Podchodziłam pod drzwi do kuchni, przykładalam ucho do mlecznej szyby, a potem delikatnie naciskałam klamkę. Zdążyłam czasem zauważyć, jak mama nachylona nad stołem opowiada coś z przejęciem cioci, ale przy mnie prostowała się, milkła i czekała, aż naleję sobie wodę. A potem znowu ruch jej podbródka w kierunku drzwi.

Ciocia Krysia odwracała wtedy wzrok i milczała, choć przecież mogłaby powiedzieć: „Chodź, Soniu, masz już stannik. Chodź, poznasz swoją mamę tak, jak ja ją znam. Pokażę ci, jak ją naprawiać”.

Więc wychodziłam dotknięta zdradą cioci.

W moje piętnaste urodziny zaprosiłam koleżanki, które bardzo chciałam nazywać przyjaciółkami. Ciocia Krysia tego wieczoru też przyszła do nas, ale jak zwykle zniknęła

z mamą w kuchni. Tylko tuż przed wyjściem wsunęła głowę do mojego pokoju. Szybko omiotła wzrokiem dziewczyny, a potem, samym ruchem ręki, zaprosiła mnie do przedpokoju. W krótkiej chwili, kiedy mama pomagała jej zakładać płaszcz, wydała recenzję o moich gościach. Z tą cholerną pewnością w głosie szeptała, z którą nie warto się przyjaźnić, a której trzymać się za wszystkie skarby świata.

Mama przy komentarzach cioci przygryzała usta i odwracała głowę.

Też się zżymałam na pouczenia cioci. Wolalabym to wszystko usłyszeć od mamy. Móc jej opowiadać o moich sprawach. O Julce z pierwszego piętra, która się cięła i myślała o skończeniu ze sobą, o panu Władku z mieszkania naprzeciwko, który zapraszał mnie do siebie, a ja nie wiedziałam, co z tymi zaproszeniami zrobić. Albo może o czymś innym. Tak żeby mama śmiała się także przy mnie.

Ale do takich rozmów przydałaby się kuchnia i czas, i czerwone carmeny.

Kiedyś zrobiłam próbę. Ciocia Krysia zostawiła paczkę papierosów, więc gdy zostałam w domu sama, usiadłam w kuchni na krześle, na którym zawsze siadała ciocia. Zapaliłam pierwszy raz w życiu i zaczęłam mówić.

Mówiłam do pustego krzesła mamy.

Nie było to ani trochę wesołe i na pewno mama nie miałaby na dekolcie wypieków. Nie pochylałaby się nad stołem tak, jak przy cioci Krysi.

Ciocia ma już makijaż. Czerwona pomadka pasuje do sukienki w kwiaty. Jak lakier wyschnie, nie będziemy się już musiały spieszyć. Trzeba będzie zapleść palce i owinać je różańcem. Choć pewnie ciocia wolałaby carmena z czerwonej paczki.

Patrzę na nią i trochę jest tak, jakby w trumnie, na stole w kuchni, leżała przebrana mama.

Wszyscy mówili, że ciocia Krysia i mama są identyczne, ale to nie była prawda.

Mama inaczej marszczyła brwi. Jasne włosy wiązała w mały kucyk. Nie wstydziała się piegów na skórze.

Ciocia ukrywała piegi pod makijażem, a włosy miała krótsze. Co tydzień chodziła do fryzjera i zmieniała uczesanie. Jedynie koloru nie pozwalała sobie zmienić.

– Taki blond jest nie do podrobienia – mówiła.

Kiedy się denerwowała, to na dekolcie pojawiały jej się czerwone plamki, takie same jak u mamy. Dlatego ciocia nosiła zawsze bluzki zapięte pod samą szyję i wtedy nikt już nie potrafił powiedzieć, czy jest spokojna, czy zdenerwowana.

Bo przecież ciocia Krysia była ciocią z wielkiego świata i umiała załatwić wszystko. Coś jej się pokomplikowało, kiedy załatwiała mamie samochód, i zamiast wymarzonego wartburga do odebrania w Poznaniu czekał na nią trabant. Za to w kolorze kości słoniowej, tak jak mama chciała.

Mama wyjechała po odbiór auta na całe trzy dni i miałam zostać przez dwie noce tylko z ciocią. Dwie listopadowe noce, z padającym za oknem śniegiem z deszczem.

– Co byś chciała ze mną zrobić, Soniu? – zapytała ciocia Krysia pierwszego wieczoru.

Najbardziej na świecie chciałam usiąść z nią w kuchni. Zadawać pytania i słuchać jej przyciszonego głosu. Zobaczyć, czego się muszę nauczyć, żeby rozweselić mamę.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

– Coś, czego byś nie zrobiła z mamą. Mam rację?

Poczułam, jak moje policzki czerwienieją do samych koniuszków uszu. Chciałam jej powiedzieć: „Coś, co zrobiłabym z mamą tak, jak ty to z nią robisz”, ale znowu wzruszyłam ramionami. Myślałam, że ciocia Krysia wie wszystko, a jednak nie.

– Masz czepek? – rzuciła nagle.

– Mam, ciociu, ale basen o tej porze jest już zamknięty – odpowiedziałam niepewnie. Czułam, że zbliża się coś nowego. Coś ze świata cioci Krysi. Zależało mi na tym. Chciałam być jak ciocia Krysia i umieć reperować mamę.

– Nie dla nas. – Uśmiechnęła się znowu ciocia. – Pakuj ręcznik i jedziemy.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Jechaliśmy prawie pustym autobusem numer osiemnaście.

Obserwowałam ciocię Krysię.

Uśmiechała się i patrzyła na migające na mokrym asfalcie światła latarni. „Ciocia umie się cieszyć”, pomyślałam. „Może umie tak bardzo, że mama bierze trochę tej jej radości”. I choć nie lubiłam miasta po zmroku, postanowiłam spróbować cieszyć się tak samo jak ciocia Krysia.

Kiedy autobus zatrzymał się przed budynkiem pływalni, ciocia wzięła mnie za rękę, co było dziwne, bo byliśmy już wtedy tego samego wzrostu, a ja nigdy nie widziałam dwóch kobiet idących w ten sposób. Jej dłoń była ciepła i drobna, jakby ciocia też miała piętnaście lat.

Budynek był ciemny i tylko okna hali z basenem fosforyzowały na granatowo. Ciocia podeszła do drzwi wejściowych i pociągnęła za klamkę. Ale drzwi były zamknięte.

– No dawaj, Soniu, krzyczymy „Marian” – powiedziała niezrażona. – I stukaj w drzwi z całej siły.

Niepewnie uderzyłam zwiniętą w pięść dłonią. Przeraził mnie huk. Drzwi i cała metalowa framuga pobrzękiwały przy każdym uderzeniu.

Ciocia Krysia zaczęła stukać w grubą szybę z całej siły i wtedy też nabrałam odwagi.

– Marian! – krzyknęła ciocia Krysia i zaśmiała się jak dziewczynka.

– Mariaaan! – wtórowałam cioci i waliłam w szybę obiema pięściami.

W głębi ciemnego korytarza ktoś zapalił światło i zobaczyłam krępą sylwetkę niskiego mężczyzny. Szedł w naszym kierunku bez pośpiechu, jakby przechadzał się tu przypadkiem, a nie zareagował na nasze wołanie. Podeszedł do drzwi, oparł czoło o szybę i przyłożył do skroni ręce, żeby nas zobaczyć. Uśmiechnął się serdecznie i tym razem szybkimi już ruchami przebierał wśród przypiętych do paska kluczy.

– Cholera! No nie znajduję, Krysia, tak szybko. Złotko moje, zamknij już te piękne usta – wykrzyczał.

– Mariaaan! – krzyknęła jeszcze raz przekornie ciocia Krysia, a kiedy Marianowi w końcu udało się otworzyć drzwi, wpadła w jego w objęcia.

– Piękna moja! Wieki cię nie widziałem! – Marian podniósł ciocię tak, że jej stopy wisiały nad ziemią. Wyginał ciocię w literkę C na okrągłym jak piłka lekarska brzuchu. – Chodźcie, chodźcie! – Mrugnął do mnie i zamknął za nami drzwi na klucz.

– Masz czepek, Sonia?

– Mam.

Szłam za ciocią i Marianem ciemnym korytarzem w kierunku zapalonego światła. Znałam tę przestrzeń, ale nigdy nie byłam tu po ciemku. Zdawało mi się, że ściany z mozaikami delfinów i płaszczyk pulsowały, a szklane sklepienie korytarza biegło gdzieś w górę w nieskończoność.

Marian dał mi klucz do szafki i weszłam za ciocią schodami do szatni. Zdjęłam spodnie i bluzę. Mocowałam się z czepkiem, kiedy podeszła do mnie ciocia, zupełnie naga.

Ręcznik przewiesiła sobie przez ramię i nawet nie próbowała osłonić ani piersi, ani pełnych bioder. Uśmiechała się cały czas, znowu podała mi rękę i poszłam za nią pod prysznic. Kiedy odkręciła wodę, nad białymi kafelkami utworzył się obłoczek pary.

Weszłam w tę parę i nie mogłam powstrzymać chichotu, bo woda była do bólu gorąca.

Ciocia poprowadziła mnie ciemnym korytarzem do basenu. Myślałam, że będziemy pływać, ale ciocia nadal nie puszczała mojej ręki i pociągnęła mnie w kierunku trampoliny.

Oddech mi przyspieszył, bo zawsze patrzyłam na skaczących z czterech metrów chłopców, ale nigdy nie miałam odwagi, żeby wspiąć się po metalowych schodkach.

– Boisz się, Soniu? – zapytała cicho ciocia Krysia.

– Ani trochę – odpowiedziałam i ściągnęłam lopatki. Coś ścisnęło mi gardło. Wszystko było dziwne. Pusty basen i nagość cioci.

Przeciągam dłonią po biodrach cioci. Wyczuwam wystające kości. Schudła bardzo. Pół cioci Krysi zostało. Mama mówi, że umyłyśmy ciocię Krysię, ale tak naprawdę moczyłam tylko gąbkę i przesuwałam ją po skórze cioci. Nagość cioci nie była już nowa. Znałam ją, z tamtego wieczoru.

Wtedy, na basenie, ciocia popchnęła mnie lekko i zaczęłam wchodzić po schodach trampoliny. Nogi miałam miękkie i parę razy przystawałam, gotowa zawrócić, ale za mną szła ciocia.

Na samej górze serce łomotało mi już tak, że pewnie nawet Marian, który został gdzieś na dole, mógł to usłyszeć.

Ciocia Krysia stała za mną i obie dłonie położyła na moich ramionach.

– Jak będziesz gotowa, wystarczy, że zrobisz taki mały krok w przód – wyszeptala mi do ucha. – A gdy już skoczysz, to trzymaj prosto nogi, jakbyś stawała na baczność. Dasz radę?

Pokiwałam głową, choć podbródek drżał mi tak, jakbym się miała rozplakać. Przygryzłam wargę.

– Daj sobie czas – powiedziała spokojnie ciocia.



Lena Darska / PLSP w Supraślu

Nie wiem, ile czasu stałam na skoczni. Trzy minuty? Dziesięć minut? Patrzyłam na wodę pode mną, która wyglądała jak ciemnoniebieska tafla lodu. Czułam, że na całym ciele pojawia mi się gęsia skórka, i drżałam, choć nie było mi zimno.

W końcu zrobiłam to bardziej dla cioci niż dla siebie. Wysunęłam nogę do przodu i napięłam całe ciało.

Leciałam i leciałam.

Tuż nad lustrem wody krzyknęłam. Nie wiedziałam, że mam w sobie taki głos. Niski, mocny. Jakby ze środka mnie krzyczał ktoś, kogo jeszcze nie znam.

W wodzie otoczyły mnie bańki powietrza, duże i takie całkiem malutkie.

Zanurzałam się i zanurzałam coraz głębiej.

Uśmiechałam się pod wodą, a woda wpływała mi do ust. Wcale nie była lodowata, jak się spodziewałam, tylko przestraszyłam się, że będę tak spadać już do końca świata.

Moje stopy dotknęły dna i ugięłam kolana.

Odbiłam się tak mocno, jak chyba nigdy od niczego się nie odbijałam.

Zaczęłam płynąć w górę. Wyżej i wyżej. Zmieniłam się w płazczkę ze ścienniej mozaiki pływalni.

Zabrakło mi powietrza. Zdażyłam pomyśleć, że woda zaleje mi płuca. Nagle poczułam na biodrach czyjeś ręce. Pchnęły mnie w górę. Wynurzyłam głowę.

Znowu zaczęłam krzyżeć. Z radości.

Wysoko nad sobą zobaczyłam wystającą znad trampoliny twarz cioci Krysi. Ciocia leżała na brzuchu, zaśmiewała się i biła mi brawo.

Obok mnie wynurzył się Marian. Spodziewałam się, że na kłacie ma całą masę włosów, ale był gładki. Biały i gładki. Wystawił w górę kciuk i znowu zanurkował.

Położyłam się na wodzie na plecach i patrzyłam jak wszystko delikatnie faluje: wysokie sklepienie sufitu, trampolina z twarzą cioci Krysi, słupki startowe na brzegu basenu. Zapomniałam o mamie.

To mógł być dobry czas na wspólne nurkowanie, ale ciocia zeszła po schodkach i zagwizdała gwizdkiem Mariana, tak jak gwizdzą zawsze ratownicy, kiedy kończy się już godzina pływania.

– Czuć wszystko, kochana. Bać się i robić. To moja lekcja dla ciebie – powiedziała i zabrała mnie pod prysznic.

Znowu obłoczek pary, ręcznik, mokre włosy pod czapkę, autobus numer osiemnaście, dom.

– Gotowe – mówi mama.

– Nie, mamuś, jeszcze coś. – Wyciągam z szuflady paczkę czerwonych carmenów i wysuwam je w kierunku mamy.

Mama wolno odsuwa krzesło przy kuchennym stole i czeka, aż usiądę.

Kobiety na skraju

Tego lata dobrze Marcie robią msze i pogrzeby. Tylko musi przyjść do kościoła wcześniej, najlepiej tuż przed wniesieniem trumny, bo wtedy łatwiej dokopać się do smutku.

Czasem ma szczęście i lawki tuż za rodziną są jeszcze wolne. Może wtedy przyglądać się z bliska dłoniom gości składających kondolencje. Ona lub on podchodzi wolnym krokiem, czasem szepcze żalobnikowi coś na ucho, a potem zawsze kładzie rękę na jego plecach. Dłoń trzykrotnie poklepuje spięte barki. Żeby dodać otuchy.

Marta słyszy strzępki słów: „przykro”, „kto by pomyślał”, „a jeszcze niedawno”.

Ona też to robi. Przed wejściem czyta klepsydrę, żeby wiedzieć, jak przywitać się z rodziną zmarłego.

Na mszę za duszę Zbigniewa – jego imię Marta przeczytała w nekrologu – przyszło z pięćdziesiąt osób.

Marta z trudem precyzyjnie się do przodu i podeszła do zapłakanej kobiety. Eleganckiej, przed pięćdziesiątką. Przytulili ją i pogładziła jej plecy. Zgodnie ze sztuką – trzy razy. Zawsze trwało to na tyle krótko, że nawet jeśli zobaczyła uniesione ze zdziwienia brwi, miała chwilę, żeby wmieścić się w tłum innych osób. Tym razem jednak wdowa przytrzymała jej dłoń w swoich dłoniach i spojrzała jej w oczy. Długo.

– Dziękuję, że przyszedł, Joasiu. – Uśmiechnęła się do niej z czułością. – Zbyszek bardzo by to docenił.

Ostatni raz tak ciepło uśmiechnęła się do Marty pracownica kina, która wpuszczała ją na czwarty seans w tym samym tygodniu. Ale w tamtym uśmiechu dostrzegła raczej cień politowania, podczas gdy uśmiech wdowy był szczery. Jakby coś je ze sobą łączyło.

Zmieszala się.

– Będiesz na konsolacji, prawda? – ciągnęła wdowa. Jej głos był lekko zachrypnięty. – Marek zatrzyma dla ciebie miejsce w samochodzie. – Dotknęła ramienia stojącego obok wysokiego mężczyzny. – Prawda, synku?

– Tak, mamuś. Będę na panią czekał, pani Joanno – potwierdził.

Marta czuła, że powinna to wyprostować i powiedzieć im obojgu, że nie jest Joanną, ale zamiast tego zerknęła na zegarek i usłyszała, jak sama mówi:

– Oczywiście, Marku. Pożegnanie Zbyszka jest dla mnie ważne.

Dłonie zaczęły jej się pocić.

Kościół był nowy i pobielonych niedawno ścian nie zdążyły jeszcze przykryć żadne zdobienia ani obrazy. Marta znalazła wolne miejsce dopiero w jednym z ostatnich rzędów ławek, ale dzięki temu mogła najpierw ochłonąć, a potem lepiej się rozejrzeć.

Żalobnicy Zbigniewa byli kolorowi. Właśnie usiadła obok niej starsza kobieta w siateczkowych rajstopach. Na jej kostce Marta zauważyła wytatuowaną różę. Tuż za kobietą trzech łysiejących mężczyzn, jeden z nich z kucykiem, a jeszcze dalej gruby brodac w skórzanej kurtce. Zbigniew musiał być motocyklistą albo muzykiem.

Ładnie śpiewał organista. Czyściutko. Marta pilnowała, żeby nie założyć nogi na nogę. Nie wypada w kościele. Nawet jeśli Zbigniew był, jak widać po towarzystwie, dość niestandardową osobą. Siedziała wyprostowana, ze złączonymi kolanami, lekko pochylona do przodu. W czasie kazania sięgała do torebki, zdejmowała ją i stawiała raz z prawej, raz z lewej strony.

– A jego śmierć jest dla nas nauką, że jeszcze nie jest za późno. – Pogłos słów księdza odbijał się od kolumn i kamiennej posadzki. – I oto stoi już u wrót Pana. – Tu ksiądz zrobił długą przerwę. – Pokorny. – Pauza. – I przeprasza za wszystkie swe przewinienia.

– Pokorny? Zbyszek? – wyszeptala do Marty siedząca obok kobieta. – Za chwilę będzie o zbawieniu i nadziei dla nas, jeśli za grzechy swe też przepraszać będziemy.

– I że życie to droga do odkupienia – odszepnęła Marta w odruchowym rewanzu.

Kobieta z przyjacielską zażyłością szturchnęła ją ramieniem i Marta poczuła rozlewającą się w jej brzuchu falę ciepła.

Po mszy do ambony podszedł syn Zbigniewa. Niósł ze sobą gitarę elektryczną. W przedłużających się sekundach ciszy podłączał sprzęt do kabla, który podał mu ministrant. Pochylił się nad nisko ustawionym statywem mikrofonu:

– Ojciec. . . – zaczął głośno, ale głos uwiązł mu w gardle. Odkasznął i zaczął jeszcze raz: – Ojciec. Dla ciebie – wypowiedział tym razem już cicho i wypełnił kościół

długim gitarowym riffem. Echo powtarzało każdy takt *Wish You Where Here* Pink Floydów.

Marta nawet nie musiała się starać, żeby to poczuć. Łzy płynęły same. Zobaczyła, że kobieta z różą na kostce też płacze. Mężczyzna z kucykiem oparł łokcie na kolanach i zasłonił oczy, a brodac głośno wydmuchał nos. Marta dostała to, po co przyszła.

Stypa była jedną z najradośniejszych imprez, na jakich kiedykolwiek była. Siedzący przy długich stołach goście przekrzykiwali się nawzajem, wiele osób krążyło po udekorowanej weselnie sali ze szklaneczką whisky lub kieliszkiem wina. Marta dała się wciągnąć w zadymione opowieści z piwnicznych jazzowych klubów, w których faktycznie grwał Zbyszek. W całym ciele przyjemne odprężenie.

I nagle ciepła ręka na jej ramieniu. Kiedy Marta się odwróciła, zobaczyła stojącą nad sobą wdowę.

– Idziemy na dach, kochana – usłyszała tuż przy swoim uchu i poczuła miły zapach perfum. W tej samej sekundzie tętno przyspieszyło jej tak bardzo, że niemal nie mogła nabrać powietrza.

Stały obok siebie przy poręczy dachowego tarasu i patrzyły na światła okolicznych budynków. Nie było bardzo wysoko – jakieś trzy, cztery piętra, ale Marta czuła, że dygocze. Sama nie wiedziała, czy dlatego, że stała na skraju dachu, czy z wieczornego chłodu, czy może dlatego, że będzie się musiała przyznać do kłamstwa.

Żona Zbyszka była niewątpliwie piękną kobietą. Marta zerkała na jej czólenka na niewysokim obcasie, czarną sukienkę za kolano, perły na szyi, zmarszczki w kącikach oczu, bladą skórę i zmęczenie. Wdowa nie wyglądała na żonę jazzmana. Kiedy wyciągnęła w jej kierunku paczkę cienkich papierosów, Marta nie odmówiła. A przecież nie paliła od wielu lat. Kiedy przyjmowała ogień, jej papieros drżał lekko.

– Nie wierzyłam, że to zrobisz – powiedziała cicho kobieta.

Zaciągała się długo i spokojnie, a potem wolno wypuszczała powietrze. Patrzyła na rozwiewającą się w tarasowym świetle smugę dymu.

– To chyba nic wielkiego – odpowiedziała powoli Marta i przelknęła ślinę. Tytoń drażnił jej krtań.

– Zaczęłam palić, kiedy trafił do hospicjum. Wiesz, cały ten obłęd zdrowej diety, fitnessu i kremików pod oczy. . . Mówił o waszych długich rozmowach.

– Przepraszam cię, ale ja. . .

– Rozumiem, Joasiu. Uprzedzał, że nie będziesz chciała o tym rozmawiać. Chciałam ci tylko podziękować. Z całego serca. – Nadal nie patrzyła na Martę, położyła tylko dłoń na jej ramieniu i trzy razy je pogładziła. – Kiedyś eutanazja będzie legalna.

Zdrowy poranek

Od kiedy mąż ją porzucił, zaczęła częściej wychodzić.

Długo przechadzała się po ulicach Białegostoku z przyjemnym wrażeniem, że stała się niewidzialna. Zrezygnowała z obcasów i farbowania odrostów, nosiła się na czarno – nie było powodu, dla którego ludzie mieliby zwracać na nią uwagę. Mogła siadać na ławce w parku w dowolnej pozycji. Albo jeść lody na ulicy. Czasem – bardziej dla zabawy niż z przymusu – prostowała się na widok kogoś znajomego i przyspieszała kroku, żeby wyglądać tak, jakby miała gdzie się spieszyć. I nawet jak usłyszała czasem: „Dzień dobry, pani Joanno”, nie musiała się uśmiechać.

Kiedy patrzyła na stojących na autobusowych przystankach ludzi, robiło jej się lekko na sercu i doceniała długo biegnące godziny przed- i popołudnia. Z rzadka myślała o tym, co mogłaby zrobić, żeby topniejące oszczędności pozwoliły jej opłacać czynsz, ale poza pieniędzmi nic jej nie zmuszało do pośpiechu, wydawała niewiele i w zasadzie mogła jeszcze przez dwa, trzy miesiące spokojnie żyć, nawet bez konieczności codziennego wstawania z łóżka.

Od lat nie czuła się tak dobrze.

Kiedyś myślała, że wie, jak to jest być samotnym. Nie przewidziała jednak słodkawej tęsknoty za czymś, czego nie umiała nazwać. Zdziwiła się na przykład, że w ekscytację wprawilo ją niedzielne wyjście do kościoła i moment, w którym, po odbijającym się echem „przekażcie sobie znak pokoju”, dotknęła rąk trzech przypadkowych osób stojących obok.

Albo ta chwila, kiedy przed budką z zapiekankami patrzyła na dłonie sprzedawczyni, która wyciągała dla niej z opiekacza bułkę z pieczarkami. Dziewczyna powoli rozsmarowywała majonez, a Joanna nagle poczuła ucisk w górnej części mostka, tam, gdzie zbiegają się obojczyki, bo sprzedawczyni robiła to dla niej, specjalnie dla niej. Joanna czuła się tak, jakby coś krał, bo tak samo ścisnęła ją w dolku, kiedy ktoś robił coś dla niej z czułością. A potem wyrzuciła zapiekankę do kosza, bo zapłaciła tylko za to, żeby poczuć właśnie to ściskanie.

Obrączki nie zdjęła. Bo co to kogo.

Starala się wychodzić z domu jak najwcześniej, zanim zastygnie w kuchni w tym dziwnym bezruchu, z którego trudno się ocknąć.

Od tygodnia jej porannym miejscem była „Rowerowa”. Najbardziej zielona kawiarnia w mieście, jak głosił napis na wystawowej witrynie. Ale też jedna z tańszych kawiarnianych opcji, całkiem do rzeczy.

Tym razem, w któryś wtorek lub czwartek – poza niedzielą dni tygodnia nie miały znaczenia – Joanna przyszła tu o godzinę później niż zwykle. W progu przywitał ją zapach kawy, szmer rozmów i głos Niny Simon. Jedyne wolne miejsca to wysokie krzesła tuż przy wejściu, w mało przytulnej wnęce, z której widziała tylko kilka stolików i ulicę za oknem. Bar, na który lubiła patrzeć, i jeden dodatkowy stolik dla gości miała ukryte za rogiem ściany.

W kawiarni musiała zajmować zawsze miejsce z pustymi krzesłami obok. Zawsze. Nawet jeśli było oczywiste, że jest sama. Inni ludzie, najczęściej młodzi, siedzieli parami, czwórkami, uśmiechali się, podgryzali sobie nawzajem rogaliiki, sprzeczali, kto zapłaci rachunek, a ona siedziała sama i piła kawę bez mleka. Jasne, że byłoby przyjemniej siedzieć przy stoliku z kimś, kto by się z nią razem śmiał, z kim mogłaby się pospierać o zapłacenie rachunku, wyciągnąć kartę kredytową w stronę kelnera i z uśmiechem powiedzieć: „Tym razem ja płacę”. Ale nie miała z kim.

Przypatrywała się gościom, podsłuchiwała ich rozmowy, z niewielkim zaangażowaniem przeglądała przygotowane do oddania w pobliskiej bibliotece książki. Myślała o tym, jak ostatnio zalała ją fala gorąca, kiedy oddawała pięć wypożyczonych zaledwie tydzień wcześniej tytułów, a gotbibliotekarka, jak nazywała ciemnowłosą przemilą dziewczynę pracującą tam od lat, z uśmiechem powiedziała: „Och, jak szybko pani czyta!”

I nagle śpiewające ptaki. Rozejrzała się po wnętrzu tonącym w zieleni doniczkowych paprotek i bluszczu. Uśmiechnęła się, bo dzwonek telefonu dziewczyny, która siedziała przy najbliższym stoliku, narastał świergotem i dźwiękami lasu.

– Jestem, Kuba. Jestem – powiedziała dziewczyna do telefonu. – Tylko nie mogę głośno rozmawiać, bo wpadłam do „Rowerowej”. Mówiłam ci o tym miejscu.

Joanna patrzyła na drobną sylwetkę dziewczyny. Włosy związane w mysią kitkę, ptasi profil i wystające obojczyki. To taki typ kobiety, który się nie zestarzeje. Za dwadzieścia lat jedyna zmiana to może trochę zmarszczek. Ale jak się

popatrzy na taką ptasią kobietę z tyłu, to można pomyśleć, że ma osiemnaście lat.

Teraz dziewczyna była raczej niewiele starsza, choć równie dobrze mogła zbliżyć się do trzydziestki. Wyglądała jak Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany'ego*, tylko była o wiele mniej wyrazista. Jakby fotografię prawdziwej Audrey ktoś pokrył szarym, rozmiękczoneym filtrem. Jakby dziewczyna przed wyjściem z domu zrobiła wszystko, żeby wtopić się w otoczenie i nie zwracać na siebie uwagi. Wszystko miała szare: bluzkę ze stójką, spódnicę w drobne kwiatki, ciasne balerinki z gumką. Ale jej głos brzmiał ciepło, a kiedy odebrała telefon, to pojaśniała, jakby ktoś oświetlił ją reflektorem.

– Czekalam, aż zadzwonisz – szeptała do słuchawki z ożywieniem. Kiedy słuchała swojego rozmówcy, jej palce wyłowily ze związanych gumką włosów pojedynczy kosmyk. – Nie, prawie nie spałam. Pisałam do ciebie, do świtu.

Ciepło w brzuchu. Joanna wyobrażała sobie mężczyznę, z którym rozmawiała dziewczyna.

– Wyślę, oczywiście, że wyślę, tylko muszę dokończyć. Twój ostatni list bardzo mnie poruszył. – Szara Audrey zaczęła mówić głośnie. Jakby zapomniała, że obok są inni ludzie.

Joannie podobał się głos tej młodej. Zaskakująco silny i głęboki. Skąd taki głos w takim drobnym ciele?

– Tak, koniecznie musimy się w końcu spotkać. – Dziewczyna położyła łokieć na kawiarnianej poduszce i odchyliła głowę do tyłu. – Trochę się boję, czy dalej będzie tak samo.

Chłopak musiał powiedzieć coś miłego, bo dziewczyna oparła się i wyciągnęła nogi pod stolikiem. Jej stopa zataczała w powietrzu małe kółka.

„Rozmiar trzydzieści trzy, trzydzieści cztery? Buty musi kupować na dziale dziecięcym”, – myślała Joanna i zaczynała pozwalać sobie na miłe wzruszenie, czułość jakąś do tego chucherka z ukrytą siłą.

– Jak to w Białymstoku? – Dziewczyna wyprostowała się i pochyliła nad blatem. – Już? Teraz? Mówiłeś, że wyjeżdżasz z Polski. – Zaczęła obgryzać skórkę przy paznokciu. – Nie, oczywiście. Lubię niespodzianki. – Obejrzała się na okno za swoimi plecami. – Za piętnaście minut? Musiałeś wyjechać jeszcze przed świtem, wariacie. – Chyba silila się na beztroskę w głosie. Skuliła ramiona i rozglądała się po sali. – Nigdy nie pytałeś, jak wyglądam. To ważne?

Szukała czegoś w torebce. – Jasne, że mnie poznasz, tu jest tylko kilka stolików. Tak, „Rowerowa”.

Joanna czuła jej niepokój. Nasilający się skurcz zastąpił ciepło w brzuchu.

Dziewczyna wyjęła z torebki notes i wyrwała z niego kilka zapisanych drobnym pismem kartek.

– Rude. Długie rude włosy. Cała burza loków. Z nikim mnie nie pomylisz – powiedziała i opuściła głowę. – Jestem wysoka, nie wiem, czy to ci nie będzie przeszkadzać. – Skuliła ramiona jeszcze bardziej.

Wstała z telefonem przy uchu. A potem spojrzała na Joannę. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i jakoś tak dziwnie wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Przepraszam, no taka sytuacja, proszę pani”. Odwróciła wzrok, zanim Joanna zdążyła zareagować. Ciągnęła rozmowę:

– Tak, jak kobiety na obrazach włoskich mistrzów, o których wczoraj opowiadałeś. – Patrzyła nieruchomo na stolik ukryty przed wzrokiem Joanny.

Zrobiła krok w kierunku wyjścia i na moment zastygła. Znowu patrzyła w ten sam róg kawiarni. Mówiła wolno, z determinacją:

– I mam nadzieję, że lubisz kobiece kształty. – Przysłoniła dłonią usta. – Zawsze się wstydziałam mojego dużego biustu. – Zgarbiła się. Drobną, niską, chucherko. – No ale umawialiśmy się na szczerość, więc wolę cię uprzedzić.

Mała szara dziewczynka.

Joanna poczuła, jak coś ścisła jej gardło. Miała ochotę podejść do dziewczyny. Chwycić ją za ramiona i powiedzieć: „Przestań, mała. Zostań tu, zaczekaj na niego”. Nie mogła się poruszyć.

Dziewczyna zrobiła kolejny krok w stronę wyjścia, a potem zawróciła.

Joanna patrzyła na każdy jej ruch. Wdech. Wydech.

Szara Audrey przysiadła jeszcze raz przy stoliku. Uniosła ramię, przełożyła tam telefon i przytrzymała go podbródkiem. Co chwilę dawała znać, że słucha, choć cała spięta szukała czegoś znowu w torebce. Wyjęła długopis. Pochylona nad blatem coś napisała na wyrwanych z notesu kartkach. Przełożyła telefon na drugie ramię i znowu śmiesznie docisnęła go głową.

– Tak. Nie. Tak. – Przebiegła wzrokiem stronę, a potem wolno złożyła plik kartek na pół. Dopisała coś na odwrocie. Wyprostowała się, zbliżyła palce do ust i przeniosła pocałunek na papier. Jakby się zęgnęła.

„Nie idź, proszę”, Joanna krzyczała w duchu. Od ściskania blatu rozboleły ją dłonie.

– Tak, czekam na ciebie, Kuba – wyszeptala do telefonu dziewczyna. – Bądź szybko. Całuję.

Rozłączyła się i wyszła. Uciekła.

Joanna oddychała szybkim urywanym oddechem. Wstała i podeszła do stolika. Na pliku kartek zobaczyła równe, dziecięce litery: „Ostatni list do Ciebie, Kuba”. Obejrzała się zmieszana, jakby szukała czyjejś pomocy.

Kelnerka odwrócona do ekspresu przygotowywała kolejną kawę. Nina Simon śpiewała: *It's a new day, it's a new life for me, and I'm feeling good.*

W rogu sali, przy stoliku, którego wcześniej Joanna nie mogła zobaczyć ze swojego miejsca, siedziała ruda dziewczyna i coś pisała w grubym zeszycie. Zamyślona i nieobecna. Wyglądała jak Lady Lilith z obrazu Rossettiego. Duża i piękna, z burzą niemal czerwonych loków, z imponującym biustem.

Joanna usiadła na miejscu drobnej dziewczyny i położyła obie dłonie na jej liście.

Wrócił dobrze znany jej ostatnio stan – jakby patrzyła na siebie z zewnątrz. Chodziło o szczególny rodzaj spowolnienia myśli i ruchów przy wykonywaniu najprostszych czynności. Pod palcami odkrywała gładkość blatu, ostre krawędzie kartek, szorstkość papieru. Zamknęła oczy i skupiła się na pobrzękiwaniu filiżanek, szumie ekspresu do kawy, a potem – ze zdziwieniem – usłyszała szelest gniecionej strony, którą powoli, niemal bezwiednie, zginała w kulkę. Pierwszą, drugą.

Unikała gwałtownych gestów i skoncentrowała się na płynnym ruchu dłoni, a potem przedramienia, kiedy chowała zgnieciony papier do kieszeni. Tym razem to naprawdę kradzież. Ale nikt nie wydawał się zainteresowany zesłaniem kary, więc trzecia, czwarta i piąta strona, kieszeń.

„Bo mimo wszystko, szara Audrey, potrzeba siły, by porzucić kogoś, do kogo ci blisko”, pomyślała. Chciała temu mężczyźnie, który tu pędził pewnie na złamanie karku, oszczędzić tego, co sama czuła od tyłu dni. Oszczędzić. Odsunąć choć na trochę, zlagodzić.



Maksymilian Dawid Drazba / PLSP w Supraślu

Powoli poszła po swoją kawę. Wróciła na miejsce dziewczyny. Spojrzała na zegarek. Czekala.

Wszedł do „Rowerowej” dokładnie dziesięć minut później. Wysoki, uśmiechnięty, lekko zdyszany, jakby przed chwilą biegł. Rozejrzył się i od razu podszedł do stolika rudej piękności. Dziewczyna zaskoczona podniosła na niego wzrok, a potem uśmiechnęła się z zainteresowaniem.

Więc jednak Joanna nie musiała nic robić. Samo się pouklada.

– Wyglądasz dokładnie tak, jak myślałem. – Usłyszała, kiedy płaciła rachunek. Za siebie i za uciekinierkę.

Po wyjściu z kawiarni stanęła przy szybie i przez chwilę patrzyła na niemy film z dwójką pochylonych ku sobie bohaterów.

Ruszyła wolno w stronę biblioteki. Kulki zgniecionego papieru w kieszeni wydawały jej się gorące.

Z muralu na bocznej ścianie wysokiego budynku patrzyła na Joannę ogromna stara kobieta. Sama jej twarz rozciągała się na długość czterech pięter. Niby się uśmiechała, ale jej oczy mówiły do Joanny: „Dziecko moje, cóżeś ty ponawyczyniała”. Namalowana kobieta przysłoniła twarz ręką – dłoń na trzy piętra, na serdecznym palcu gruba obrączka.

Lewa ręka, wdowia obrączka. Choć napis na muralu: „Wyślij pocztówkę dla Babci . . . i Dziadka”. Jak dla dziadka, kiedy obrączka wdowia?

Joanna zatrzymała się i spróbowała zdjąć swoją. Bez skutku. Naśliniła palec i złoty krążek drgnął. Spróbowała raz jeszcze. Zabolało, ale w końcu udało jej się zsunąć obrączkę. Włożyła ją na serdeczny palec lewej ręki.

AGNIESZKA RYNKOWSKA

– rocznik ’73 – na co dzień trenerka i konsultantka, żyje na walizkach, pracuje z ludźmi, z mnóstwem ludzi, dla zdrowych relacji w biznesie. Powtarza za Vedraną Rudan, że nie można pisać o życiu, jeśli się go nie przeżyło. Tak naprawdę wie, że można, ale chce inaczej. Pisze od czasu pandemii, pracuje nad powieścią w stylu domestic noir. Jej debiutanckie opowiadanie *Moja matka nigdy nie siada* ukazało się w piśmie literackim „Szorty”. Publikowała też w antologiach warsztatów „Wydaje się” Mikołaja Grynerberga i Szkoły Pisania Kraków Miasto Literatury.



foto: prywatne archiwum autorki